Przedmowa

Gdybym był geologiem, widziałbym zapewne w mnogim bohaterze niniejszej książki – czyli drapaczach chmur, niebotykach, wieżowcach – rezultat metaforycznie pojmowanej, raczej niecierpliwej orogenezy ekonomicznej, politycznej i architektonicznej, ucieleśniający spektrum uwarunkowań tyleż przestrzennych, ileż dziejowych, wyraźnie sublimujący określone napięcia diachroniczno-synchroniczne. Gdybym zaś był historykiem, ujrzałbym w owych gmachach sięgających nieba nastroszoną emanację ambicji politycznych, okoliczności gospodarczych, dążeń symbolicznych czy aspiracji ideologicznych, a na pewno – intensyfikację wzajemnych kontaktów międzyludzkich w środowisku zurbanizowanym.

Nieprzypadkowo używam czasownika odwołującego się do zmysłu wzroku, ponieważ – jak przypominał architekt Bohdan Paczowski (2005, s. 8) we wstępie do zbioru autorskich esejów zatytułowanych (*nomen omen*) zbiorczo *Zobaczyć*:

> U Greków „widzieć" (*ειδωυ*) i „wiedzieć" (*οιδα*) należały do tego samego czasownika – „eidon", jako jego czas teraźniejszy, „oida", jako przeszły – a dzięki wspólnemu źródłosłowowi „id" łączyły się one z „ideą". Oba te pojęcia wydają się do siebie zbliżać w polskim słowie „zobaczyć". Znaczący odcień, jaki dzieli „zobaczyć" od „widzieć", ginie w innych językach – francuskim, włoskim czy niemieckim – sprowadzany do samego widzenia, tymczasem „zobaczyć" może wyrażać zarówno olśnienie, jak i zrozumienie. Nie traci świeżości szybkiego spojrzenia, a równocześnie oznajmia, że po części wiadomo już, na co się patrzy, skoro się je zobaczyło.

Reprezentując geografię człowieka (ang. *human geography*, niem. *Humangeographie*, franc. *géographie humaine*, hiszp. *geografía humana*) – zwaną bodaj

li tylko w Polsce geografią społeczno-ekonomiczną – a zwłaszcza geografię miast, dostrzegam wszelako w budynkach wysokich nieobojętny krajobraz miejski, który wywołuje pewną odmianę topofilii, mianowicie bezwiedne przywiązanie czy wręcz władzę miejsca nad człowiekiem. Na ten aspekt relacji ludzi i przestrzeni zwracał swego czasu baczną uwagę geograf humanistyczny Yi-Fu Tuan (1987), zapożyczając zresztą samo pojęcie „topofilii" od filozofa Gastona Bachelarda (1957; zob. też Żyłko 2000, s. 144). Miasto zatem nigdy nie jest niczyje, zawsze pozostaje przypisane do kogoś – w części lub całości: do jednostek (zwykle w domenie prywatnej) i społeczności (w domenie wspólnej). Gdyby chcieć rozpisać gamę owej przynależności, można byłoby ją zainaugurować chociażby Arystotelesowską wykładnią pojęcia „miejsca" (zob. Tatarkiewicz 1999), następnie sięgnąć po słynny współczynnik humanistyczny Floriana Znanieckiego (1938), koncepcję *placelessness* Edwarda Relpha (1976) czy hermeneutyczny manifest Edwarda S. Caseya (1993) zawarty w formule *getting back into place*, zakończyć zaś niedawną propozycją Jacka Kotusa (2023) dotyczącą relacyjno-konwersacyjnego ujęcia miejsca.

Jak już ponad pół wieku temu pisał Aleksander Wallis w *Socjologii wielkiego miasta* (1967, s. 29):

> Społeczna wiedza o mieście funkcjonuje w bardzo różnych kręgach: w środowiskach architektów, w redakcjach pism, w praktycznej działalności ojców miasta czy wreszcie w świadomości zwykłych mieszkańców. Dlatego poznanie miasta wnoszone przez sztukę i publicystykę, a następnie popularyzowane przez środki masowego przekazu – ze względu na szybką reakcję na nowe zjawiska, jak i na wielomilionowe audytorium – ma nie mniejszą doniosłość społeczną od prac naukowo-badawczych.

Wyłuskajmy z powyższej refleksji istotną wzmiankę o świadomości zwykłych obywateli – w kontekście drugiej części tytułu niniejszej książki. Perspektywa tych, którzy współtworzą legislacyjnie, administracyjnie, koncepcyjnie i materialnie organizm miejski, czyli perspektywa prawników i planistów, urzędników municypalnych, architektów i urbanistów, inwestorów, deweloperów i wykonawców, jest przecież równie ważna, co perspektywa codziennych użytkowników tego, co wykreowane, a zatem mieszkańców oraz przybyszów krótko- i długotrwałych, słowem – odbiorców. Rewersem optyki pod hasłem „kto buduje miasto?" (tak brzmi np.

tytuł jednego ze wspomnianych esejów B. Paczowskiego), względnie „kto pisze miasto?" (to z kolei tytuł eseju z 1997 roku autorstwa niedawno zmarłej Barbary Czarniawskiej) – niezmiennie pozostaje optyka adresata, zawarta we frazie: „kto czyta miasto?".

Nawiasem mówiąc, dowartościowanie perspektywy mieszkańca – rutynowo i praktycznie rewidującego (nierzadko recenzującego) wysiłki prawodawców, teoretyków, aranżerów, tudzież inżynierów miejskich – zdaje się współcześnie nieodzownym kluczem rozumienia przestrzeni zamieszkiwanej i zagospodarowywanej przez człowieka. Niekiedy oko nieprofesjonalisty widzi po prostu więcej. Dlatego też obligatoryjnie wpisano w system planowania i zarządzania miejską przestrzenią publiczną heterogeniczny głos mieszkańców-obywateli, m.in. w postaci budżetu partycypacyjnego czy konsultacji społecznych. Toteż dzisiaj nowy Georges-Eugène Haussmann – nawet mając poparcie jakiegoś Napoleona III Bonaparte – miałby nikłe szanse na przebudowę centrum Paryża. Perspektywa mieszkańca-odbiorcy-czytelnika stanowi także stale obecny, ożywczy i weryfikujący impuls wywołujący ferment w obowiązującej filozofii myślenia o mieście. Gwoli zaakcentowania tej kwestii posłużę się paralelą odnoszącą się w tym przypadku do kondycji jednej z dyscyplin humanistyki:

> Wzrost zainteresowania lekturą […] wyniknął nie tylko z wewnętrznych przemian literaturoznawstwa, ale z potrzeby reakcji na spadek czytelnictwa i malejące zainteresowanie literaturą. Miał się do tego przyczynić także kryzys w branży wydawniczej. Misyjną stroną historii czytania stało się […] dowartościowanie czytelnika, pokazanie jego kluczowej roli w poznawaniu historii kultury. Dzięki internetowi możliwość zapisu własnych doświadczeń lekturowych i dzielenia się nimi stała się także udziałem czytelników „nieprofesjonalnych" (Koziołek 2017, s. 21).

Słuchajmy zatem, co mają do powiedzenia nasi tradycyjni i incydentalni adwersarze. I to nie tylko w trybie ekstraordynaryjnym, jak m.in. przy okazji obowiązkowej publicznej prezentacji studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego konkretnej jednostki samorządu terytorialnego, ogólniejszego referendum czy sprofilowanych lokalnie konsultacji społecznych. Strzyżmy uszami permanentnie, ot – zapoznając się z wynikami prasowych plebiscytów, zaznajamiając się z miejskimi

przedsięwzięciami artystycznymi czy podejmując badania z zakresu percepcji społecznej.

Ostatnim tropem podążył Autor niniejszej książki – doktor Bartosz Barański, geograf, specjalista z zakresu gospodarki przestrzennej, muzyk i multiinstrumentalista (absolwent Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych nr 4 im. Karola Szymanowskiego w Warszawie), mający doświadczenie zawodowe zarówno w instytucjach miejskich (pracował w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy w Biurze Funduszy Europejskich i Polityki Rozwoju w Wydziale Strategii Rozwoju Miasta i Wydziale Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych), jak i ministerialnych (był starszym specjalistą w Departamencie Strategii Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej). Po napisaniu pracy magisterskiej pt. *Dominanta i tonika w kompozycji miejskiej Warszawy na przykładzie Pałacu Kultury i Nauki. Przestrzenne rozważania na tle analogii muzycznych* i złożeniu egzaminu magisterskiego na Wydziale Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego (2016) Autor podjął tamże studia doktoranckie. Ośmielony serią uhonorowań wspomnianej pracy dyplomowej – czyli: I nagrodą w Konkursie im. Mieczysława Franciszka Rakowskiego organizowanym przez tygodnik „Polityka" (2016), wyróżnieniem w konkursie Towarzystwa Urbanistów Polskich (2017), główną nagrodą w konkursie Prezydenta m.st. Warszawy „Dyplomy dla Warszawy" (2017), I miejscem w konkursie Instytutu Metropolitalnego w Gdańsku na najlepsze prace dyplomowe o tematyce miejskiej i metropolitalnej (2018) – B. Barański początkowo zaproponował jako meritum rozprawy doktorskiej rozwinięcie problematyki przestrzenno-muzycznej, ale już jedno z pierwszych spotkań doktoranta z Radą Studium Doktoranckiego przyniosło mu rozczarowanie i dowiodło, że obrane pole badawcze okazało się jeszcze zbyt nowatorskie jak na obowiązujące wówczas standardy w ramach warszawskiej geografii społeczno-ekonomicznej. Zmienił zatem tematykę i przez cztery lata przygotował obszerną (liczącą ponad 900 stron), znakomicie acz nie bezkrytycznie przyjętą przez recenzentów rozprawę doktorską nt. *Wertykalizm zabudowy miejskiej centrum Warszawy w percepcji społecznej*. W przewodzie doktorskim najpierw opiekunem naukowym Autora został prof. dr hab. Andrzej Lisowski (z Uniwersytetu Warszawskiego), po dwóch latach funkcję promotora przejął niżej podpisany, a promotorką pomocniczą stała się dr Magdalena Fuhrmann. Natomiast

recenzentami pracy byli prof. dr hab. inż. arch. Piotr Lorens (z Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej) i prof. dr hab. Przemysław Śleszyński (z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania Polskiej Akademii Nauk) – obydwaj wnioskowali o wyróżnienie rozprawy. Publiczna obrona doktoratu – ze względu na warunki pandemiczne przeprowadzona w formule zdalnej – odbyła się w listopadzie 2021 roku, a w następnym roku rozprawę wyróżniono w konkursie Prezydenta m.st. Warszawy na najlepsze prace dyplomowe dotyczące rozwoju społeczno-gospodarczego stolicy. Książka, którą Czytelnik trzyma właśnie w ręku, jest mocno okrojoną wersją rzeczonej rozprawy doktorskiej, nietracącą jednak linii ani dynamiki głównej argumentacji pierwotnej, obejmującą wszystkie wiodące wątki merytoryczne poruszone w doktoracie. Jak tedy Autor w swej szeroko zakrojonej analizie „czyta" warszawskie drapacze chmur?

Po pierwsze, podczas interpretacji stołecznego krajobrazu wysokościowego, przyglądając się badawczo poszczególnym wieżowcom przez pryzmat opinii respondentów, nie traci z oczu całego ich zbioru w odniesieniu do miejskiego centrum. Zachowuje więc w tej mierze pozycję i dystans kiedyś przekonująco zarysowane przez Sebastiana Merciera (1959, s. 37 i 338) w *Obrazie Paryża*:

> Chcecie osądzić miasto od strony fizycznej? Wejdźcie na wieżę Marii Panny. […] Opuściłem Paryż, by go móc tym lepiej malować. Z daleka od przedmiotu, imaginacja obejmuje go i przedstawia sobie w całej okazałości.

Ów „rzut oka na całość" wzbogacony zostaje w niniejszej książce rozległą panoramą pojedynczych wątków, splatających się wszak w trzech osiowych kognitywnych ścieżkach problemowych – podbudowanych klamrowo rozważaniami asocjacyjnymi i afektywnymi – a mianowicie: lokalizacyjnej, funkcjonalnej i wizualnej (fizjonomicznej).

Po drugie, taki zbiorczy, choć zachowujący osobność warszawskich drapaczy chmur, portret Autor zdecydował się pogłębić w rozmowach z licznymi ekspertami (zarówno praktykami, jak i teoretykami miasta: architektami, urbanistami, geografami, ekonomistami, historykami sztuki, planistami, socjologami, politologami, antropologami, prawnikami, historykami architektury, projektantami, dziennikarzami, psychologami środowiskowymi), tym samym czyniąc zadość postulatowi znanemu

w humanistyce jako *close reading* (uważne, bliskie czytanie) względnie *deep reading* (głębokie czytanie), albowiem taki format lektury – w tym lektury tekstu kultury, jakim jest miasto – pozwala na efektywniejsze zrozumienie rozpoznawanego fenomenu.

> Czytanie we własnym rytmie, odnalezienie tego rytmu wymaga wprawy i somatycznego zaangażowania. Miłośnik górskich eskapad doskonale rozumie, czym jest odnalezienie własnego tempa wspinaczki. W innym rytmie zdobędzie szczyt piechur nastawiony na kontemplowanie każdego etapu drogi, w innym ten, dla którego ważna jest nie droga, lecz cel –

– sugeruje literaturoznawczyni Krystyna Koziołek (2017, s. 29). W istocie nasz Autor pospołu interpretuje uświadamiane przez respondentów stołeczne niebotyki, tyleż pamiętając o celu poznawczej podróży, co czerpiąc badawczą satysfakcję z kolejnych kroków, niekiedy tylko zmieniając rytm narracji. Wspinaczka to zaiste, gdyż jako czytelnicy wchodzimy wraz z Autorem-Przewodnikiem na coraz wyższe piętra refleksji.

Po trzecie, B. Barański niuansuje argumentację w zależności od tego, czy zależy mu na spojrzeniu ostrym i delimitującym, czy też kontekstowym i negocjacyjnym, czy decyduje się na optykę koncentrującą się na atrybutach, czy raczej wybiera optykę holistyczną. W tym zakresie (świadomie bądź nie) Autor niniejszej książki przypomina malarza, którego widzenie kapitalnie rozpisał niegdyś Władysław Strzemiński (2016) w *Teorii widzenia* – w sekwencji narastającej świadomości wizualnej i pragmatycznej: widzenie konturowe – widzenie sylwetowe – widzenie bryłowe – widzenie światłocieniowe – pełne widzenie empiryczne. W tym miejscu znów zdaje się pobrzmiewać wyłuszczona przez B. Paczowskiego, a wywiedziona od Greków komitywa etymologiczna czasowników „widzieć" i „wiedzieć". Czytelnik ma wrażenie, że z każdym piętrem wędrówki intelektualnej, którą podjął wraz z Autorem, widzi, a więc wie coraz więcej – i *vice versa*. Na szczęście – przywołam tutaj ponownie w sukurs S. Merciera (1959, s. 26):

> Czytelnik będzie mógł sam dodać to, czego autor nie dojrzał, lub sprostować to, co napisał niesłusznie; porównanie własnego sądu z moim sądem pobudzi go może do dalszego przyglądania się modelowi i dalszych studiów porównawczych. Można by powiedzieć znacznie więcej, niż powiedziałem, i dać więcej komentarzy, niż to uczyniłem, ale tylko głupiec albo łajdak pozwala sobie napisać wszystko, co sam wie lub czego się od innych dowiedział.

Nie mam wątpliwości, że w rozważaniach o warszawskich drapaczach chmur uświadamianych społecznie B. Barańskiego cechuje pewna wstrzemięźliwość – już to wynikająca z tego, że był zobligowany wydestylować z wcześniejszej rozprawy doktorskiej do niniejszej książki to, co relewantne dla utrzymania ciągłości wywodu, już to warunkowana osobistą ostrożnością badawczą, nazywaną w języku filozofii nauki pożądanym umiarem założeń i konkluzji. Taki umiar bowiem przynosi nierzadko zaskakującą zdobycz poznawczą. Owej właśnie zdobyczy doświadczył bohater *Zamku* Franza Kafki (1973, s. 5 i 12), geometra K.:

> Był późny wieczór, kiedy K. przybył. Wieś leżała pod głębokim śniegiem. Góry zamkowej nie było wcale widać, otoczyły ją mgły i mrok, nawet najsłabsze światełko nie zdradzało obecności wielkiego zamku. K. stał długo na drewnianym moście, wiodącym z gościńca do wsi, i wpatrywał się w pozorną pustkę na górze. […] W ogóle zamek widziany z daleka nie odpowiadał oczekiwaniom K. Nie była to ani stara rycerska warownia, ani nowożytna wspaniała budowla, lecz rozległy zespół, składający się z niewielu dwupiętrowych oraz wielu ściśle do siebie przytykających niskich zabudowań; gdyby się nie wiedziało, że jest to zamek, można by to było uważać za miasteczko.

Oczywiście nie zdradzę żadnej ze zdobyczy intelektualnych, które czekają na Czytelnika niniejszej książki. Tytułem rekapitulacji dodam tylko prawie na sam koniec, że – jak Czytelnik niechybnie się już domyślił – jej tematyka przynależy do pól poznania wielu (sub)dyscyplin naukowych – zarówno przestrzennych, jak i społecznych (m.in. geografii miast, gospodarki i planowania przestrzennego, socjologii przestrzeni, architektury i urbanistyki) – zatem transdziedzinowy charakter jej dyskursu stanowi wyraźny rys narracji. Nie mniej istotnym wyróżnikiem merytorycznym jest usytuowanie głównego problemu – wertykalizmu zabudowy Warszawy – na uprzednio wzmiankowanych trzech płaszczyznach rozważań: lokalizacyjnej, fizjonomicznej i funkcjonalnej, a także w dwóch aspektach: obiektywnym (inwentaryzacja i analiza wieżowców w realnym kontekście miejskim) i subiektywnym (opinie użytkowników przestrzeni miejskiej o wysokościowcach).

Tak skonstruowana synteza jest zbudowana na rzetelnej analizie jakościowej i ilościowej warszawskiej zabudowy wysokościowej postrzeganej przez ludzi oraz wpisuje się w zakres merytoryczny subdyscypliny geografii

miast. Przedłożone rozważania można zakotwiczyć w co najmniej czterech orientacjach filozoficzno-metodologicznych stosowanych w ramach geografii społeczno-ekonomicznej, czyli orientacji scjentystycznej (neopozytywistycznej), strukturalistycznej, behawioralnej i humanistycznej – choćby ze względu na wykorzystanie przez Autora statystyki opisowej, zainicjowany namysł nad miejskimi strukturami głębokimi, jak też ujęcie podmiotowe i problematykę wartościowania (zob. Węcławowicz 2007, s. 20–24; Maik 2012, s. 95–109), przynajmniej w trzech nurtach badań geograficznych nad organizacją przestrzeni miejskiej: analizach historyczno-morfologicznych, studiach nad użytkowaniem i funkcjonalnością przestrzeni zurbanizowanej oraz analizach społecznej organizacji miasta (zob. Liszewski 2014, s. 25–30), a także w czterech „metaforach świata" odzwierciedlających poznawcze trendy we współczesnej refleksji geografów człowieka, czyli mozaice/mapie (m.in. dzięki autorskiej refleksji nad krajobrazem miejskim), mechanizmie (m.in. za sprawą wglądu w problematykę centrum miasta), organizmie (m.in. przez podjęcie badań percepcyjnych i waloryzacyjnych przestrzeni miejskiej) i arenie (m.in. dzięki obecności w dyskursie takich zagadnień, jak miejska polityka wysokościowa czy tożsamość miejsca) (zob. Sagan 2008, s. 106–115). Z perspektywy socjologii miasta studium należałoby usytuować w obszarze naukowych zainteresowań szkół kulturalistycznych – np. spod znaku inicjatyw badawczych F. Znanieckiego i Janusza Ziółkowskiego (1984), oraz szkół humanistycznych – np. w ujęciu Petera L. Bergera i Thomasa Luckmana (1983) czy nawet Rolanda Barthesa (1980) (zob. Jałowiecki, Szczepański 2002, s. 21–23, 36–41).

Książka doktora B. Barańskiego jest dojrzałym i wnikliwym studium miejskiego wertykalizmu, rozpoznanego w szerokim kontekście geograficznym i historycznym, architektonicznym i urbanistycznym, a zbadanego w wymiarze społecznym na przykładzie Warszawy. Dlaczego jednak wertykalizm w wydaniu miejskim Autor wziął w rachubę refleksji badawczej? Niechaj za próbną odpowiedź posłużą znane słowa Henry'ego Jamesa z *The American Scene* poświęcone Nowemu Jorkowi:

> „Wysokie budynki", uzurpujące sobie chwałę, która wydaje się nas zaskakiwać, rozliczne drapacze chmur, które stają nam przed oczyma z wody niby nadliczbowe szpilki w zbyt gęsto nabitej poduszeczce, powtykane byle gdzie, jak gdyby po omacku, mają tę przynajmniej zaletę, że usuwają kontrasty między

> światłem słonecznym i cieniem […] i są triumfalnymi płatnikami dywidend; połyskujące dumnie niezliczone okna i migoczące złocenia są jak kładący się na ich długich, wąskich twarzach blask lamp jakiegoś ogólnego, nieprzerwanego „świętowania" (za: Rykwert 2013, s. 277).

Bez podobnego „świętowania" – ucieleśnianego niebotykami – nie sposób wyobrazić sobie dzisiaj współczesnego dużego miasta, tak jak wcześniej bez akropolu, katedry czy zamku, które wznosiły się nad dachami pozostałych zabudowań i oznajmiały przynależność, rangę całego ośrodka oraz wskazywały, gdzie bije jego puls.

A zatem, Czytelniku – przekraczasz właśnie próg drapacza chmur. Od Ciebie tylko zależy, do którego piętra dotrzesz. Życzę Ci spojrzenia z dachu.

Mikołaj Madurowicz
Uniwersytet Warszawski